

Marcin Kula

# Człowiek w dziejach: jednostka w gromadzie czy samotny w tłumie?<sup>1</sup>

## AUTOR

jest historykiem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie wykładowcą Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie.

Człowiek kształtował się jako jednostka stadna. Przez wieki po prostu nie przeżyłby w pojedynkę. Dziś nawet ludzie z różnych powodów samotni nie żyją przecież dosłownie sami – w nieskończonej liczbie spraw współdziałają z innymi. Kultura może jednak w różnym stopniu akcentować wspólnotowość. W cywilizacji staropolskiej ludzie żyli w kulturze wyraźnie kolektywistycznej. Szlachta była przekonana o wspólnym pochodzeniu (od Sarmatów) i uważała się za spokrewnioną między sobą. Powiedzenie „panie bracie” padało nie tylko przy spotkaniu rodzonych braci. Wymyślone braterstwo można było wzmocnić koncepcją „rodu herbowego” – poczuciem szczególnej bliskości rodzin choćby tylko legitymujących się tym samym herbem. Na co dzień wzmacniano jedność gromady różnymi zwyczajami, na przykład obecnością rezydentów w domach bogatszych szlachciców, uczestnictwem w sejmikach, wspólnymi biesiadami, wzajemnymi wizytami. Zresztą przy ówczesnym stanie techniki, aby załatwić najbłahszą nawet sprawę, choćby zorganizować wymianę myśli, trzeba było się zobaczyć, a przy okazji coś zjeść, wypić, odpocząć przed dalszą drogą. Charakterystyczne dla bliskości szlachty, zarazem podtrzymujące tę

bliskość, były pocałunki, wymieniane także między mężczyznami. Całowali się „w policzek, w rękę, w ramię, nawet w brzuch” (Davies 1989, t. 1, s. 321). To ostatnie trudno sobie dziś wyobrazić, ale, widać, jakoś wówczas dawali sobie radę.

Na poziomie chłopstwa przede wszystkim materialne warunki bytowania podtrzymywały kolektywizm. Większość tej grupy przez całe życie żyła w jednej wsi, będąc w rzeczywistości skazana na siebie. Więzy pokrewieństwa musiały więc być intensywne. Gromada skupiała się wokół jednego pana i jednego kościoła. W wypadku nadzwyczajnej potrzeby ludzie mogli liczyć tylko na te instytucje i nawzajem na siebie. Rodziny mieszkwały w jednej izbie, spały nieraz na jednym łóżku. Mnóstwo czasu spędzały w tym samym pokoju, za potrzebą chodziły za stodołę. W takich warunkach trudno było zachowywać dyskrecję w wypadku różnych aspektów życia, a coś dopiero akcentować autonomię jednostki czy indywidualizm. Rodziny nieraz jadły ze wspólnej miski. Indywidualne widelce i talerze to sprawa historycznie późna. Kobiety prały w tym samym miejscu nad rzeką, chłopcy pływali czy pluskali się gromadą. Centrum tej społeczności stanowił plac przed kościołem. Charakterystyczne, że budowa nowego kościoła zmieniała geografę zawieranych małżeństw, zmieniała bowiem granice kontaktującej się gromady, w tym skład patrzących nawzajem na siebie na tym placu.

Nawet żebracy, ludzie o anomalnych cechach rozwojowych czy kolorowi, skądinąd nieliczni w Europie, byli ujęci w tym systemie. Żebrak przed kościołem zaspokajał potrzebę czynienia dobrych uczynków, ludzie „dziwni” bywali na dworach monarszych czy magnackich pokazywani właśnie jako „dziwni”, nieraz występowali również w trupach wędrownych. W miastach stopień kolektywizmu był z natury mniejszy, ale ludność miejska była stosunkowo nieliczna, a instytucje, na przykład cechy, jak najbardziej kulturowały kolektywizm. Poza systemem byli przez nikogo nielubiani włącznie, uciekinierzy, „ludzie zbędni” – termin Stefana Czarnowskiego (1956, t. 2, s. 186–193). Iluż jednak ich było? I gdzie byli? Jeśli na „dzikich polach”, daleko na wschodzie, to systemu nie zaburzali. Ciekawe zresztą, że sami uciekinierzy mogli poniekąd odtwarzać system. Akurat nie w Polsce, ale w krajach Ameryki Południowej, gdzie warunki klimatyczne temu sprzyjały, niewolnicy uciekinierzy zakładali w interiorze własne osady w ramach modelu społecznego syntetyzujące wzory afrykańskie (również kolektywistyczne!) i system, z którego uciekli.

\*\*\*

Niektóre ze wspomnianych wspólnotowych rozwiązań przetrwały w naszym świecie, poczynając od Kościoła katolickiego, według swojego przesłania zmierzającego do jednoczenia ludzi. Wspólnota parafialna nieraz jest nadal silna. Ksiądz wzywa do prze-

kazania sobie znaku pokoju. Zakony prowadzą życie wspólnotowe, biskupi uważają się za braci w wierze, w ramach życia religijnego funkcjonuje wiele organizacji skupiających ludzi. W różnych kryzysowych sytuacjach (na przykład wojennych) nieraz gromadzono się wokół księży i kościołów. W Polsce Ludowej wielu z nas aktywniej niż zwykle zbliżało się do wiary i świątyń. Reakcją na atomizującą przestrzeń socjalistycznych blokowisk było budowanie kościołów, wśród różnych funkcji pełniących także funkcję jednoczenia ludzi (Kula 1987, s. 36–58). Kłopot z Kościołem – w zakresie rozważanej problematyki – jest tylko taki, że nieraz w swojej historii realizował wybiórczą miłość bliźniego, z wyłączeniem heretyków, innowierców czy Żydów.

Przetrwały wśród nas symboliczne formy akcentowania jedności gromady, czasem zresztą związane z życiem religijnym, a przynajmniej wywodzące się z niego. Ceniśmy sobie zasiadanie przy wspólnym stole, dzielmy się opłatkiem, także jajkiem czy tortem weselnym. Na wiejskim południu w akurat trochę mi znanej Brazylii na powitanie siada się w kręgu i podaje się sobie kolejno tykwę z herbatą paragwajską, którą wszyscy pociągają z tej samej rurki. Mięso tradycyjnie pieczone na rożnie obnosi się wśród biesiadników – kiedyś siedzących kołem, dziś wokół stołu – i każdemu ucina się kawałek. Gdy przyszedłem do jakiegoś gospodarstwa, wszyscy obecni stanęli wkoło, a mnie podano szklankę wódki. Pomyślałem sobie,

że jeśli ją wypiję – w upale, w samo południe – to chyba padnę. Szczęśliwie kto szepnął mi, że mam upić łyk i podać dalej. Nawiasem mówiąc, szlachta polska również wznosiła niegdyś toasty w ten sposób, na koniec rozbijając szklanicę.

Z minionych form wspólnotowych pozostała fińska sauna. Może mieszkańcy Związku Radzieckiego łatwiej akceptowali wspólne łaźnie w blokach ze względu na silną tam tradycję dawnej „bani”. Nam trudno byłoby wyobrazić sobie chodzenie z sąsiadami pod wspólny prysznic. Kolega, który przeżył to doświadczenie w Moskwie, gdy mieszkał u znajomego, musiał się mocno przemóc, kiedy uznał, że w końcu należałoby się wykapać. We wspominanej Brazylii mężczyźni spotykający się niespodziewanie czy po jakiejś przerwie prawie się obejmują i klepią nawzajem po plecach – czego trzeba się szybko nauczyć po przyjeździe i jeszcze szybciej oduczyć po powrocie. Pozostaje faktem, że mimo trwania takich i innych podobnych rozwiązań przynajmniej w sytuacjach banalnych w brzuch się nie całujemy.

\*\*\*

Proces modernizacyjny był związany ze zwiększoną indywidualizacją ludzi. Masy naszych przodków napłynęły do miast, które z rozważanego punktu widzenia nieraz przypominają pustynię – choć wszędzie jest nas pełno. Nawet gdy dosłownie ocieramy się o innych ludzi w tłumie, w sklepie, w autobu-

sie, to w żaden sposób nie zbliżamy się do nich, raczej przeciwnie. Współczesny przemysł zgrupował masy robotników, co dało im nadzwyczajną siłę, ale zarazem ich zatomizował. Taśma produkcyjna uzależniła ich nawzajem od siebie, uczyniła z nich jednak jednostkowe automaty, wykonujące konkretną, ciągle tę samą czynność. Trzeba szczególnych sytuacji, aby przełamać tę grę „kółek w maszynie”. Typowe dla współczesnego życia migracje zrywają część dotychczasowych więzów, a nowe nie od razu się rodzą. Nowoczesne środki komunikacji odgrywają rolę bardzo dwuznaczną. Przez radio, telewizję czy Internet kontaktujemy się, a przynajmniej możemy kontaktować się z całym światem – jest to jednak kontakt odległy. Poza wszystkim nie sposób przejmować się sprawami naszych współbraci ludzi, gdy co wieczór dowiadujemy się z wiadomości telewizyjnych o kolejnych katastrofach czy wybuchach wulkanów. Łatwiej podać pomocną dłoń komuś z dowolnych powodów bliższemu niż bliższemu jedynie wirtualnie. David Riesman nazwał tę sytuację „lonely crowd”, co na język polski zostało przetłumaczone, rzecz jasna, jako „samotny tłum” (Riesman 2011). Ideę autora chyba lepiej oddawałoby jednak zatytułowanie przekładu jego książki „Samotni w tłumie” lub „Samotność w tłumie”. Oczywiście zaistniała sytuacja nie jest powszechna. W największych miastach istnieją sąsiedztwa przypominające dawne wsie, migranci tworzą wyodrębnione sektory, brazylijskie fawele są wspólnotowe nieraz aż do wspólnoty w prze-

stępsztwie. Niemniej jednak rozwój cywilizacji idzie w innym kierunku, choć kierunek ten może się jeszcze zmienić.

Sytuacja atomizacji społeczno-ści wywołała reakcję. Niektóre z jej form można uznać za symboliczne. Gdy w Paryżu zastąpiono obsługę pewnych stacji metra urządzeniami automatycznymi, pasażerowie nie byli zadowoleni, zwłaszcza na stacjach peryferyjnych, i wieczorem zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Sam kiedyś pojechałem stację za daleko i zupełnie nie wiedziałem, jak się zachować. Trudno przecież wytłumaczyć automatu, że zrobiłem to niechcący, a nawet gotów jestem dopłacić.

Reakcje na proces atomizacyjny są bardzo różne. W historii budowy miast i przemysłu pojawiały się – i nadal się pojawiają – próby zawrócenia lub przynajmniej złagodzenia tego procesu. Takimi wysiłkami tłumaczono program społeczny Forda („fordyzm”) czy, równie dobrze, śląskie familonki lub budowę przez zakłady Bata fabrycznego miasteczka Zlin – wyposażonego nie tylko w mieszkania, ale także w instytucje ułatwiające wspólne życie. Osiedla na ludzką skalę i odpowiadające potrzebom współżycia realizowano na przykład w koncepcji Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Dziś tworzymy ulice spacerowe, bez ruchu kołowego, wygospodarujemy małe placiki, budujemy kościoły nie na planie krzyża, lecz przypominające namiot albo nawet na planie koła, które akcentują wspólnotę zgromadzonych. W różnych instytucjach,

także na uczelniach i w bibliotekach, tworzymy atria i zazielenione podwórka (lub dachy), gdzie można sobie pogadać. Uczestniczymy w różnych organizacjach, niektórzy z nas w zbiorowej aktywności sportowej. Wielkie imprezy sportowe i artystyczne mają aspekt dezatomizacyjny. Kibicowanie na stadionach ma między innymi taką funkcję: jednoczy nas wokół działań, na których wynik nasza obecność nie ma wpływu żadnego lub ma wpływ minimalny, ale duchowo zyskujemy poczucie bliskości. Zbiorowo uczestniczymy przecież w osiągnięciu wspólnego celu, na dodatek definowanego jako patriotyczny. W skrajnym wypadku tworzy się przy tym bardzo specyficzna jedność kibolska, w której bliskość duchowa wspierana jest dodatkowo poczuciem istnienia wroga.

W nieporównanie lepszych okolicznościach potrzebę zbliżenia zaspokajają grupowanie się w imię pomocy innym, potrzebującym ludziom – zwłaszcza gdy przybiera ono formę szerokiego ruchu społecznego. Zbliża on samych działających między sobą (Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy wraz z Pol’and’Rock Festival, Polska Akcja Humanitarna, Caritas, Szlachetna Paczka). Omawianą potrzebę zaspokajają już jednak choćby wzięcie konkretnej rodziny „pod opiekę” w ramach akcji pomocy. Na tym polegało na przykład działanie francuskiego stowarzyszenia Solidarité France-Pologne, które po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce wskazywało rodziny w Polsce, które znalazły się

w potrzebie, życzącym sobie tego rodzinom francuskim (Kula 1995). Ludzie ci jednoczyli się sami o tyle, że łączyli się w czynieniu dobra (proteście przeciwko złu), a zbliżali się także z rodzinami objętymi pomocą.

Nieraz zaakcentowanie uczestnictwa we wspólnocie przynosi udział – choćby za pośrednictwem telewizji – w wielkich imprezach publicznych, w królewskich ślubach, w pogrzebach znanych osób albo w pogrzebach osób znanych i (lub) takich, których śmierć wywołała szczególne wrażenie (śmierć księżnej Diany w 1997 roku). Po katastrofie smoleńskiej także przychodzono na Krakowskie Przedmieście, aby podzielić tragedię i wspólnie dać wyraz odczuwaniu tragedii. Potrzebę przeżycia wspólnotowego widzę również w stosunkowo licznym udziale ludzi w „miesięcznicach” smoleńskich.

Braki uczestnictwa we wspólnocie czasem kompensujemy sobie bliskością z naszymi zwierzętami.

\*\*\*

Różne instytucje dostosowują się do naszej wyczuwalnej potrzeby przełamywania atomizacji. W telewizji słychać zwracanie się do innych osób w formie „Panie Janku” czy „Pani Małgosiu” – zupełnie jakbyśmy naprawdę byli sobie bliscy. Sami także coraz częściej tak zaczynamy rozmowy, a na pożegnanie życzymy sobie „miłego dnia”. Galerie handlowe tworzą dziś miejsca przyjemnego spędzania czasu, przypominające dawną

główną ulicę na wsi i plac targowy. Banki przedstawiają się jako nasi przyjaciele, doradczynie (dziś już rzadko po prostu „kasjerki”) proponują nam zajęcie miejsca w fotelu, podają nam rękę, zagadują na różne tematy. Reklamy bankowe mówią „Masz przyjaciela w...” (tu nazwa banku). Inna sprawa, że taki bankowy przyjaciel uważnie patrzy na nasz rachunek, zanim nam pożyczy pieniądze – ale w ten sposób także okazuje nam przecież przyjacielską troskę (żebyśmy nie wpadli w tarapaty!).

Prowadzona z zapałem przez państwo „polityka historyczna” ma więcej wspólnego z polityką niż historią. Nie służy jednak tylko rozgrywce politycznej. Ma jednoczyć nas wokół wspólnej wizji przeszłości. Choć z różnych powodów przypomina komunistyczną politykę historyczną *ante verbum*, to funkcję antyatomizacyjną pełni o tyle lepiej, że podaje ludziom z grubsza to, co chcą usłyszeć.

\*\*\*

Również politycy wykorzystują nasze opory wobec atomizacji. Wielu z nich odgrywa rolę ojca czy człowieka bliskiego zwykłym ludziom. Adolf Hitler i Józef Stalin podejmowali różne środki dla takiego kształtowania własnego obrazu. Nie przyrównując, Charles de Gaulle, przy całej swojej wyniosłości, ścisnął ręce tłumom. Gdy szef ochrony prosił, by tego zaniechał, miał podobno odpowiedzieć, że będzie się witał z ludźmi, a przecież ochrona może zadbać, żeby to byli jej ludzie (sic!).

Obóz rządzący dziś (sierpień 2018 roku) w Polsce akcentuje hasło solidarności, tworzy obraz liberalizmu jako kierunku pozostawiającego ludzi samym sobie, pokazuje się jako bliski ludziom i dbający o ludzi (nie jak przeciwnicy – opisywani jako jedzący wyszukane ośmiorniczki oraz doradzający innym, aby wzięli kredyt i podjęli działalność gospodarczą). Środowisko dzisiejszej władzy obiecuje ludziom, że znajdą sprawiedliwość w reformowanych sądach, że złodzieje zostaną ukarani, a pokrzywdzeni przez historię otrzymają zadośćuczynienie przynajmniej w formie przyzwoitego pogrzebu. Tadeusz Rydzyk otwiera ramiona w geście „chodźcie do mnie”. Niedawno, nie mogąc spać w nocy w szpitalu, słuchałem różnych rozgłosni. Radio Maryja znakomicie występowało jako przyjaciel telefonujących, pewnie podobnie jak ja niemogących spać. Akurat przedstawiane wówczas na tej fali przedsięwzięcie „Różaniec do granic” zawierało akcenty bardzo mocno podkreślające wspólnotowość uczestników.

Takie lub podobne działania są znane z wielu nurtów populistycznych. Wieloletni prezydent Brazylii Getúlio Vargas, urzędujący w latach 1930–1945 i 1951–1954, zyskał nawet przydomek „ojca ludu”. Wspomnienia o jego polityce „dobrej dla ludzi” słyszałem jeszcze w 1996 roku na brazylijskiej prowincji. Przywódca argentyński Juan Domingo Perón, prezydent w latach 1946–1955 i 1973–1974, wraz z żoną Evitą rozdali ludziom więcej niż odpowiednik pięciuset złotych na

dziecko. Dbali o poparcie *descamisados* („bezkoszulowcy” – sens taki jak „sankiuloci” w rewolucji francuskiej). Zarówno tam, jak i jeszcze w wielu krajach ludzie akceptowali autorytaryzm w przekonaniu, że nareszcie ktoś się o nich troszczy.

\*\*\*

Różne fundamentalne dla kształtu społeczności ruchy społeczne zajmowały stanowisko wobec wspólnotowości *versus* atomizacji ludzi. Rewolucja francuska niosła hasła „wolności”, „równości” i... „braterstwa”. Przyjęto nawet wówczas zasadę zwracania się do siebie *per* „ty” – jako symbol, wyraz i narzędzie bliskości między rewolucjonistami. Inni na braterstwo nie zasługiwali, może w ogóle nie chcieli być „braćmi”. Sami „bracia” się później powyrzynali, zapewne właśnie dlatego, że chcieli być za bliskimi „braćmi”.

Ruchy narodowe w pewnym stopniu wyrażały dążenie ku wspólnotowości. W ogóle powstanie narodów w ich współczesnej formie było reakcją na rozpadanie się siatki feudalizmu, może niewygodnej dla niektórych, ale dla większości tworzącej zabezpieczające komórki na podobieństwo plastra miodu. Są duże szanse, że zjawisko narodowe będzie trwać nie mimo globalizacji, ale właśnie w jej konsekwencji. Nie da się być atomem wśród miliardów ludzi na ziemi, nawet wśród tej części miliardów, która przemieszcza się w siatce bliźniaczo podobnych lotnisk. Człowiek potrze-

buje przynależności do mniejszej społeczności i identyfikacji z nią.

Jeszcze większe niż ruchy narodotwórcze oparcie dają zatomi-zowanym ruchy nacjonalistyczne (w polskim rozumieniu tego słowa). Rozwój faszyzmu może tu być szkol-nym przykładem. Niemcom, zatomi-zowanym przez wielką wojnę i kryzys gospodarczy, ten ruch zaproponował udział w budowie i obronie wielkich Niemiec. Zaproponował jedność prze-ciwko wrogom narodu, z Żydami na czele. Zupełnie praktycznie Adolf Hitler powiedział ludziom: „potrze-buję was”, „pójdziemy razem”. Dał im jedzenie, mundury, broń. Nawet gdy jeszcze niewiele miał, zapropo-nował im uczestnictwo w grupie pa-ramilitarnej, zupeł w lokalu partyjnym i zajęcie czasu przynajmniej na pozór sensowniejsze niż deptanie po ulicach w charakterze bezrobotnego. Statysty-ka jest jasna: jeden bezrobotny wię-cej oznaczał jednego członka NSDAP więcej.

Ciekawe są ruchy faszystowskie w krajach wyraźnie słabszych, gdzie faszyzm zdawał się rokować pozytyw-ną zmianę, stwarzał dla ludzi pewne role, proponował jedność w dążeniu do wielkich celów. Dziś zdumiewa, jak wielu nawet mądrych twórców przy-najmniej początkowo nabierało się na to (Mircea Eliade, Emil Cioran, brazy-lijski biskup Hélder Câmara, Ingmar Bergman). Robi wrażenie, w jak wielu słabych krajach występowały tenden-cje faszyzujące. Oczywiście moderni-zacja nie zatomi-zowała tam mieszkań-ców jak, dajmy na to, w Niemczech,

ale tradycyjną siatkę zależności, gwa-rantującą ludziom bezpieczeństwo, a krajowi spokojny byt, już zdążyła rozbić. W odniesieniu do Rumunii Błażej Brzostek mówi o Eliadem i Cio-ranie: „Oni byli gorącymi zwolennika-mi Żelaznej Gwardii! Bo wprowadzała słaby lud do historii, czyniła z niego pierwotną, żywą, brutalną siłę, któ-ra miała ruszyć z posad bryłę świata. Czyli rozwalić demokrację, która jest rodzajem zмовы przeciw słabym. I pierwotna siła okaże się twórcza”. Autor zwraca uwagę, że „lud oczywi-ście o Heideggerze nic nie wiedział. Dla ludu były akcje społeczne Żelaznej Gwardii: pomoc na roli, reperowanie domów, budowa kapliczek. A obok tego bunt przeciw państwu i prawu, bo to narzędzia elit, przeciw miastu, bo ono wysysa żywotne siły ze wsi” (Brzostek 2018). Ciekawe, jak często podobna motywacja w takich krajach jednych pchała ku faszyzmowi, innych zaś ku komunizmowi. Zdarzało się po-nadto, zresztą również w Niemczech, że ci sami ludzie przenosili się mię-dzy oboma nurtami. Można domnie-mywać, że przynajmniej w pewnym stopniu oba były reakcją na podobne niedomagania społeczeństwa – choć, o czym dziś nie chce się pamiętać, gło-siły hasła (!) istotnie różne.

\*\*\*

Komunizm był bardzo ciekawy (choć nieraz tragicznie ciekawy) z rozważa-nego punktu widzenia. Był to ustrój nominalnie kolektywistyczny. Nie tylko wieś miała zostać skolektywi-



zowana. Także w miastach mieliśmy istnieć jako część kolektywu – przede wszystkim zakładowego. Urzędy zatrudnienia kierowały do pracy, zakłady pracy stemplowały nam dowody osobiste, przydzielały atrakcyjne dobra. Państwo dawało uznaniowe premie, a całym społecznościom prezenty – inwestycje kończone naprawdę lub na niby na odpowiednie święta. Ludzie ofiarowywali prezenty na urodzinki przywódcom. Aparat państwowy „podrzucał” (termin z epoki!) zaopatrzenie do sklepów, a w Związku Radzieckim nazwa odpowiedniego ministerstwa była wypisywana nawet na puszkach z konserwami. Przedstawiony na jednym z obrazów Stalin pracuje przy biurku, obraz zaś nosi tytuł *Stalin troszczy się o nas na Kremlu*. W lokalnych wersjach to samo odnosiło się do miejscowych przywódców. O naszą wspólną drogę intensywnie troszczyły się także odpowiednie służby, nie pozostawiając nas samych sobie. Indywidualizmu nie lubiano. Zorganizowane społeczeństwo miało dominować nad więzią rodzinną czy koleżeńską. Członkowie partii, a w Związku Radzieckim po prostu wszyscy, zwracali się do siebie „towarzyszu”. Gdy już zlikwidowano „wroga klasy”, przystąpiono do realizacji „moralno-politycznej jedności narodu” (Edward Gierek). Proletariusze wszystkich krajów mieli się łączyć.

W praktyce komunizm był ustrojem ogromnie atomizującym ludzi, dezintegrującym społeczeństwa, skutecznie ograniczającym możliwości tworzenia grup wokół spraw, for-

mułowanych treści i symboli, utrudniającym spontaniczne wyłanianie się przywódców, eliminującym struktury pośrednie między szczeblem rodziny i państwa (Nowak 1979a; 1979b), izolującym i skłócającym między sobą narody (również te z obozu radzieckiego). Migracje, w Polsce bardzo nasilone zarówno na skutek powojennej zmiany granic, jak i na skutek procesu uprzemysłowienia, zwiększały, przynajmniej na pewien czas, atomizację środowisk. Typowe dla komunizmu blokowiska – dalekie echo wspomnianych wyżej osiedli wspomagających zbliżanie się ludzi – były zbiorami komórek do wynajęcia, gdzie często nie wiedziało się nic o ludziach za ścianą, czyli oddalonych o zaledwie kilkadziesiąt centymetrów (ciekawym jest z tego punktu widzenia film Krzysztofa Zanussiego *Za ścianą* z 1971 roku). W blokach szansę wzajemnego zbliżenia się mieli rodzice małych dzieci i właściciele psów, ponieważ jedni i drudzy wychodzili na spacer o określonych porach. Czasem także uczniowie tych samych szkół. Podobnie – co nie najmniej ważne – częste awarie hydrauliczne pozwalały się wzajemnie poznać.

Jednocześnie komunizm niekiedy niezamierzenie prowadził do zwiększenia poczucia wspólnoty. Przeciwnieństwa losu i trudności życia codziennego mogły prowadzić w tym kierunku. Nigdzie w Europie Zachodniej nie szukano tak często pomocy u znajomych w załatwianiu spraw lub w zakupie jakichś dóbr. Półinteresownie podtrzymywano wiele znajomo-

ści ewentualnie przydatnych w załatwieniu różnych rzeczy. Na Zachodzie nie wymieniano tak wielu telefonów między nawet odległymi członkami rodziny wokół tematyki codziennych czy mniej codziennych zakupów. Od dawna nie garnięto się tam tak silnie jak tu do Kościoła.

Typowym przykładem dwoistości oddziaływania komunizmu na integrację lub dezintegrację ludzi była kolejka do sklepu. Z jednej strony owocowała ona skłóceniem wszystkich ze wszystkimi, a z drugiej nieraz zbliżała ludzi trzymających dla siebie miejsce, zawiadamiających się nawzajem, że coś „podrzucili” (oni!), kupujących coś dla kogoś itd. – nie mówiąc już o rozmowach w czasie traconym na stanie w ogonku. Pracowników Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, gdzie pracowałem w okresie bardzo złego zaopatrzenia, najlepiej poznałem dzięki staniu w przeogromnej kolejce, do której wszyscy biegliśmy na sygnał, że przywieziono towar do nie-dalekiego sklepu serowarskiego.

\*\*\*

Ciekawe, że ruch sprzeciwiający się komunizmowi miał silny akcent wspólnotowy – poczynając od nazwy i graficznego symbolu NSZZ „Solidarność”. Nawet wprost formułowano postulat, żeby komunizm przestał ludzi dzielić i skłócać między sobą. Mnóstwo ludzi nagle odnalazło poczucie wspólnoty. Ryszard Kapuściński zauważył, że w sierpniu 1980 roku w miastach Wybrzeża „przestępczość spadła do

zera, wygasła wzajemna agresja, ludzie stali się sobie życzliwi, pomocni i otwarci. Zupełnie obcy ludzie poczuli nagle, że są – jedni drugim – potrzebni” (Kapuściński 1990, s. 29)<sup>2</sup>.

Ta bliskość ludzi w trakcie strajków 1980 roku – czy poczucie bliskości wielu z nas w reakcji na wprowadzenie stanu wojennego – nie były oczywiście koniecznie świadomym działaniem przeciwko „władzy” (ten termin wówczas funkcjonował). O zmniejszaniu się lub zwiększaniu dystansu między ludźmi często decyduje ewolucja sytuacji. W bliskości strajkowej najpierw znajdowało wyraz poczucie wspólnego niebezpieczeństwa, a z czasem wspólnota radości, znacznie łatwiejsza do dzielenia niż wspólnota smutku. W pierwszych dniach Powstania Warszawskiego wszyscy również poczuli się bliscy i radowali się. Wprowadzenie stanu wojennego, później zwłaszcza mord księdza Jerzego Popiełuszki, wywołały poczucie bliskości obejmujące bardzo szerokie grupy, choć było oczywiście złudzeniem nasze ówczesne poczucie, że „wszyscy” poza „władzą” jesteśmy razem. W początkach stanu wojennego zbliżała nas także okoliczność techniczna – wyłączenie telefonów, co prowadziło do niezapowiedzianych wzajemnych odwiedzin.

\*\*\*

Spójność społeczeństwa może być łamana bądź wzmacniana przez różnicowanie naszego położenia. Na ogół trudniej o bliskość ludzi w społeczeń-

stwie o ogromnych kontrastach społecznych; do tego trzeba wtedy wyjątkowych okoliczności. Bardzo często zresztą sytuacja może oddziaływać dwoiście: jednych z nas jednoczy, innych oddala od siebie. Niebezpieczeństwo początku lat osiemdziesiątych jednych z nas zbliżyło, a niektórzy z nas czym prędzej się oddalili. Wojna i okupacja w Polsce wielu Polaków połączyła, ale obywatele polskich chrześcijan z obywatelami polskimi Żydami zbliżyła relatywnie rzadko (choć trzeba, rzecz jasna, docenić wypadki, gdy to nastąpiło). Grupy migrujące na nowym terenie nieraz zbliżają się między sobą i tworzą bardziej niż przeciętnie zwarte społeczności, podobnie mniejszości narodowe. Niekoniecznie tak dzieje się jednak w ich relacji z grupami dominującymi. Sytuacje klęsk żywiołowych równie dobrze wywołują okazywanie sobie pomocy między ludźmi, jak żerowanie na cudzym nieszczęściu. To samo dotyczy sytuacji wojennych czy w ogóle różnych nieodbornych okoliczności.

Czynniki, które wywołują zbliżenie ludzi, mogą być politycznie użyteczne, wręcz można je traktować instrumentalnie. Można wzmacniać poczucie zagrożenia. Adolf Hitler przez cały czas rzekomo tylko się bronił. Józef Stalin także grał na uczuciu oblężonej twierdzy, a wygrał swoje miejsce w wizji historii kulturowanej w Rosji dzięki obronie przeciw hitlerowskiemu najazdowi. Nie przyrównując, można zauważyć, że w ramach pewnego planu politycznego wygodne jest – co nie znaczy, że

w każdym punkcie podtrzymywane celowo – podnoszenie tezy o „przemysle pogardy”, pokazywanie katastrofy smoleńskiej jako zamachu, ogólnie przyjmowanie, że prowadzi się walkę, że lobby sędziowskie i Bruksela (Zachód) bronią swoich interesów przeciw potrzebnym reformom, że przeciwdziałają „wstaniu Polski z kolan”, że zewnętrzne siły są przeciwne budowie nowego lotniska z uwagi na interesy lotniska we Frankfurcie, że na świecie panuje „antypolonizm”, że trzeba się bronić przeciw obrażaniu narodu polskiego, że imigranci zagrażają... Nawet białe róże można potraktować jako niebezpieczny instrument. Kłopot jest tylko jeden: co jednych łączy, to z drugimi może dzielić – i dziś w Polsce dzieli.

\*\*\*

Dążenie ludzi do wspólnoty jest z pewnością zjawiskiem „długiego trwania” (jak mówią historycy). Nie jest to zjawisko liniowe, lecz zmienne – zmienne nie tylko zresztą zgodnie z wielkimi tendencjami historycznymi. Zarówno z historii, jak i z potocznego doświadczenia wiemy, że dystans między poszczególnymi ludźmi i grupami może się zmienić. Jeszcze relatywnie niedawno nikt by nie przypuszczał, że przy całej historycznej hipotezie stosunków między narodami socjalistycznej Jugosławii dystans między nimi może zwiększyć się do rozmiarów wojny ożywionej zapiekłą nienawiścią. Jak wiadomo choćby z polskiego doświadczenia, wielkie nienawiści mogą

wybuchnąć właśnie między sąsiadami. Dystans między chrześcijanami a Żydami w Polsce międzywojennej był bardzo duży, ale jednak aż zaskakuje siła nienawiści w takim Jedwabnem – by sięgnąć do najbardziej znanego przykładu (Gross 2000).

Ludzie będą dążyć do osiągnięcia wspólnoty i nigdy nie dojdą do tego celu. Może na szczęście. Po pierwsze dlatego, że wspólnota jednych często rodzi się w oddzieleniu od innych. Po drugie zaś dlatego, że przy różnych zaletach silna wspólnota nieraz oddziałuje negatywnie na indywidualno-

ści, postawę twórczą i grupowe cechy specyficzne, również nam potrzebne. Może więc wystarczy trochę wspólnoty – zamiast tezy z rewolucji francuskiej: „Zostań moim bratem, a jak nie, to cię zabiję”? Może można celować gdzieś między pozostawieniem ludzi samym sobie wobec nieprzewidywalnych trudności z jednej strony, a sytuacją, w której korzystamy ze wspólnej łaźni w bloku lub – w innym wymiarze – w przemożnym stopniu musimy dostosować życie do panujących mód i żelaznej poprawności?

#### PRZYPISY

- <sup>1</sup> Wykład przedstawiony podczas dziewiątego spotkania Fundacji Akademia Organizacji Obywatelskich pod hasłem „Fundraising offline czy online? Dylematy i oczywistości strategicznych wyborów fundraisera”, zorganizowanego 6 czerwca 2018 roku.
- <sup>2</sup> Zapis poczyniony w Gdańsku w 1980 roku.

#### BIBLIOGRAFIA

- Brzostek, Błażej. 2018. Naród to doznanie gorące. O faszyzmie przed II wojną i dzisiejszych analogiach mówią polscy historycy. *Gazeta Wyborcza*, 5–6 maja.
- Czarnowski, Stefan. 1956. *Ludzie zbędni w służbie przemocy*, [w:] Stefan Czarnowski, *Dzieła*, t. 2, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa.
- Davies, Norman. 1989. *Boże Igrzysko. Historia Polski*. Przeł. Elżbieta Tabakowska. Kraków: Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”.
- Gross, Jan Tomasz. 2000. *Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Sejny: Pogranicze.
- Kapuściński, Ryszard. 1990. *Lapidarium*. Warszawa: Czytelnik.
- Kula, Marcin. 1987. Kościół moich dzieci. *Przegląd Powszechny*, 11.
- Kula, Marcin. 1995. *Niespodziewani przyjaciele – czyli rzecz o zwykłej, ludzkiej solidarności*. Przedmowa Jacques Le Goff, posłowie Karol Sachs. Warszawa: Wydawnictwo TRIO.
- Nowak, Stefan. 1979a. *Przekonania i odczucia współczesnych*, [w:] *Polaków portret własny*. Kraków.
- Nowak, Stefan. 1979b. System wartości społeczeństwa polskiego. *Studia Socjologiczne*, 4.
- Riesman, David. 2011. *Samotny tłum*. Przeł. i wstęp do wyd. polskiego Jan Strzelecki. Kraków: Wydawnictwo Vis-à-vis/Etiuda.